



Ko-lekcyj wzruszeń

**ANTOLOGIA NAGRODZONYCH
w XIV Ogólnopolskim Konkursie Poetycko-Prozatorskim
dla lekarzy i lekarzy dentystów
PULS SŁOWA**

Ko-lekcja
wzruszeń

Ko-lekcja wzruszeń

ANTOLOGIA NAGRODZONYCH
w XIV Ogólnopolskim Konkursie Poetycko-Prozatorskim
dla lekarzy i lekarzy dentystów
PULS SŁOWA

Warszawa 2023

Wydawca:

Unia Polskich Pisarzy Lekarzy

Naczelna Izba Lekarska

Okręgowa Izba Lekarska w Warszawie

ZLP Oddział Warszawa

SZPZLO Warszawa Praga-Północ

Redakcja: Maria Żywicka-Luckner

Patronat medialny konkursu:

Gazeta Lekarska

PULS

Własnym Głosem

ISBN 978-83-967601-0-4

Korekta: Zofia Miłkuła

Opracowanie graficzne i skład: Elżbieta Zawadzka

Druk: Wydawnictwo Diecezjalne i Drukarnia w Sandomierzu, tel. 15 64 99 700

– Wzruszył mnie „Mój dziadek”. – Mnie też bardzo. – *Zamieszkał w Niebie / Z ziemi to strasznie daleko...*

– A „Biała sukienka” nie?! Siedzi mi za powieką ten obraz. – Jak są świetnie podane „Wieści z hospicyjnego ogrodu”, hospicjum – jako żywy organizm, a nie umieralnia.

– Więcej takich tematów! – Dlaczego ten „Szabasowy sen” jest taki krótki!? – „Opowieści polskie”, jak na scenariusz, też zbyt krótkie, a *Obcy* trochę...

– Jak to możliwe, że nie rozpoznałem autorki tych krótkich opowiadań – ma świetne pióro!

– A tej pozycji nie możemy nagradzać, książka stoi u mnie na półce, wiem kto jest autorem, to wbrew regulaminowi.

Przysłuchuję się obradom Jury i nie przyznaję się, że „Dziesięć minut” rozczerło mnie na wszystkie godziny zegara – potrzebnie... niepotrzebnie – *nikt się nie dowie*.

Majka

Protokół z posiedzenia Jury

XIV Ogólnopolskiego Konkursu Poetycko-Prozatorskiego dla lekarzy i lekarzy dentystów *PULS SŁOWA*

W dniu 10.08.2023 r. Jury pod przewodnictwem Marka Wawrzekiewicza, w składzie: Aldona Borowicz-Tchórzewska, Agnieszka Tomczyszyn-Harasymowicz, Waldemar Hładki, Maria Żywicka-Luckner (sekretarz), po zapoznaniu się z utworami poetyckimi i prozatorskimi postanowiło przyznać następujące nagrody:

w kategorii poezja:

I nagroda **Barbara Rysz-Postawa** z Krakowa – godło *Pustulka*

II nagroda **Bolesław Sawicki** z Łodzi – godło *Czeburaszka*

III nagroda **Katarzyna Wierzbicka** z Otwocka – godło *Sakura*

Wyróżnienia finansowe:

Monika Szymczakowska z Otwocka – godło *Cenaturea*

Wyróżnienie drukiem:

Krzysztof Domka z Warszawy – godło *Krukowate*

Kamil Jankowski z Gdańska – godło *Kamil*

Małgorzata Luckner z Warszawy – godło *Mikasa*

w kategorii proza:

I nagroda – **Joanna Matlachowska-Pala** z Opola – godło *Wilga*

II nagroda – **Agnieszka Kania** z Opola – godło *Soghun*

III nagroda – **Zbigniew Kostrzewa** z Łowicza – godło *David*

Wyróżnienie finansowe:

Andrzej Miś z Krzywaczki – godło *AMP57*

Wyróżnienia drukiem:

Anna Pituch-Noworolska z Krakowa – godło *Obcy*

Prezentacja autorska na łamach pisma społeczno-kulturalnego „Własnym Głosem”:

Jerzy Andrzejczak z Łodzi – godło *Spin*

Jury składa podziękowania Naczelnej Izbie Lekarskiej, Okręgowej Izbie Lekarskiej w Warszawie, Unii Polskich Pisarzy Lekarzy, Związkowi Literatów Polskich, Dyrekcji SZPZLO Warszawa Praga-Północ za organizację konkursu.

Za patronat medialny dziękujemy czasopismom: „Gazeta Lekarska”, „PULS”, „Własnym Głosem”.

POEZJA

I nagroda

Barbara Rysz-Postawa – godło *Pustułka*

Biała sukienka

jak to wojna
przecież dopiero co
miałam na sobie białą sukienkę

ślubowałeś mi aż do śmierci

naprawdę nie musiałeś
tak szybko dotrzymać słowa

Ktokolwiek widział

Wyszła z domu jakiś czas temu
i do tej pory nie wróciła.
Jej dłuższa nieobecność może być zagrożeniem
dla zdrowia i życia osób, z którymi mieszkała.

Cechy szczególne:
nie zostawia śladów, gdy stąpa po trawie
i bez wahania rozpala w piecu ostatnią zapalką.
Widziano ją niedawno z wędką
nad wyschniętym strumieniem.
Podobno wczoraj w szpitalnym oknie
puszczała latawce z przemoczonych prześcieradeł.
Może być ubrana w cokolwiek,
we wszystkim wygląda pięknie.
Na ręce nosi opaskę z napisem
umieram ostatnia.

Ktokolwiek spotkał jest proszony:
niech odprowadzi ją do domu.
Jej głupie dzieci wciąż czekają.

Niepotrzebna mistrzyni

jest mnie już coraz mniej
we mnie
już siebie
nie poznaję już
prawie mnie nie widać
jeszcze
chwila a zniknę
niepotrzebna
mistrzyni ukrywania
codziennie nowych
blizn
na nadgarstkach

Scenariusz

tysiące rozmów z tobą
tylko w mojej głowie
magiczne słowa jasne odpowiedzi
scenariusze cudowne spełnionych oczekiwań

lepiej niech pozostaną w zakamarkach myśli
przy próbie stania się ciałem
tylko głuchy łoskot
grawitacja jest bezlitosna

II nagroda

Bolesław Sawicki – godło *Czeburaszka*

Syllogomania i niepewność

Gdy byłem dzieckiem zbierałem znaczki pocztowe
Później zbierałem płyty winylowe
gromadziłem fotografie
cegły cement drut zbrojeniowy meble
samochody mieszkania
Liczyłem pieniądze

Stworzony na wzór i podobieństwo Boga
zdany na naturę i przypadkowe mutacje
Teraz liczę dni i lata
biegam chodzę w góry
By być

a może wiecznie

Zapach ziemi

A myśmy myśleli że
będziemy kolonizować kolejne planety i gwiazdozbiory
zbudujemy wieżę do nieba
zatrzymamy Ziemię i czas
wiecznie młodzi nie będziemy umierać

Zapach sosny bliższy mi niż
cień marmuru i siła dębu
obietnica nieba

A myśmy myśleli że On
przygotował

A ja myślę
że ziemia mi pachnie coraz bardziej
szczególnie po deszczu
i rano gdy biegnę

Oswajam się z tym zapachem

Żebrak

Msza poranna niedziela
Kościół rozświetlony ławki podgrzewane
nagłośnienie zbyt agresywne
Ołtarz szaty lśniące kolorem żółtym
Naczynia liturgiczne złote
Ogłoszenia parafialne
Taca w przyszłą niedzielę inwestycyjna
prosimy o ofiary w banknotach
aby mniej było hałasu rzucanych monet

Idźcie w pokoju

Temperatura na zewnątrz ujemna minus 10 Celsjusza
Przed bramą do kościoła na oblodzonym bruku siedzi mężczyzna
W ręku trzyma przybrudzony pęknięty na górnej krawędzi
kubek po jogurcie
Na dnie kubka kilka monet
Mężczyzna bez ruchu
odziany w za dużą postrzępioną kurtkę
Obuty w czerwone pantofle
(podobne robił polski szewc dla papieża Jana Pawła)
bardzo zdarte i popękane bez sznurówek
Prawa noga goła prawie do kolana

Na głowie długie włosy jak u Jezusa na obrazie w kuchni mojej babci
Kolor skóry jak twarz jasnogórskiej Madonny

Wierni idą w pokoju
pamiętają abyś dzień święty święcił
Spieszą się
Sporadycznie ktoś rzuca grosz do kubka
Tylko mała dziewczynka zatrzymuje się i krzyczy
mama Jezus
i czeka aż matka wysupła pieniędzy

Mężczyzna unosi prawą rękę
a w niej między kciukiem i palcem wskazującym
kawałek kromki ciemnego chleba
Na wychudzonej twarzy uśmiech
Z otwartych ust sterczą pokrzywione białe zęby
Dorzuć mi monetę do kubka chciałem coś powiedzieć
ale nie byłem w stanie
ściśnięte gardło
Odszedłem i łzy popłynęły po moich policzkach

III nagroda

Katarzyna Wierzbicka – godło *Sakura*

Zrobiłam ci kiedyś szal

Po cichu
ucieka jakiś kolejny szczegół
jakbym co dzień gubiła
kilka oczek z robótki na drutach

jeśli jutro obudzę się
a zamiast miękkiej dzianiny
zostanie tylko kłębek splątanych nici
czy zdradą będzie
nie pamiętać

zamykam oczy jak ślepiec
próbuję poczuć zarys palcami
szukam usilnie w sobie

ten ruch dłoni
jak zranione skrzydło motyla
trafia w pustkę

zamiera we mnie

wciąż się śmiejesz
jak mała psotna dziewczynka

w oczach widzę
odbicia figlarnych wspomnień

zmarszczki
pofalowane morza
poruszają się przy uśmiechu

dłonie
zawsze gotowe działać
teraz – skrecone gałęzie trosk
z szerokimi dorzeczami żył
mapami przebarwionych lądów

szukam w tobie
ciebie dawnej ze zdjęć w albumie

tęsknię – zamykam oczy

zamiast szurania kapciami
słyszę stukot obcasów

Niemy świadek

ze starych desek pamięć domu

plama rysa pęknięcie
jak odciski przeszłości

chowa w słojach drzewa
jak w starych wekach
wspomnienia ludzi
których skupia wokół

odświeżnie przykryty obrusem
niby tapetą makijażu
ukrywa zadrapania

siedzący przy nim
nie widzą pęknięć –
sami chowają smutki

by świętować mimo wszystko

Wieża z klocków

pogubiłam myśli

rozsypały się po kątach
jak cenne klocki
z misternie budowanej wieży

inne płóche odleciały
niby spłoszone ptaki
jeden błędny ruch
przegonił je z furkotem

bezzadnie czekam
próbuję przywołać
cisza pęcznieje

echo zgubionych myśli
błąka się nocą szuka drogi
odbija od szyby jak ćma

Wyróżnienie

finansowe

Monika Szymczakowska – godło *Cenaturea*

Przyszła do mnie Balladyna

Usiadła na zielonej kanapie
Z miedzianą koroną włosów
I ustami szepczącymi zazdrośnie

Pewnego dnia przyszła matka
Matka – (nie)matka
Bez syna już do końca
Skostniała w lodzie jutra
Które i tak nadejdzie

Niektóre historie nie poddają się
Nie odstrasza ich światło świec
Uparcie chowają się w mojej torbie
Spakowane zabieram do domu

A czasem tak tęskno
Do lekkości świeżego śniegu
Na dziecięcych butach

Mój Dziadek

Mieszka w Niebie

Czyta tam książki
I spaceruje po *Starym Parku*

Studzi dla siebie
Gorącą herbatę
I je ptysie z bitą śmietaną

Rozmawia z mamą Marią
Którą zabrał odłamek bomby
Gdy w krótkich spodenkach
Biegał po domu ciotki

I robi wszystkim Świętym
Najlepsza jajecznice
Na niedzielne śniadanie
Koniecznie z boczkiem

Czasem wędkuje
Na niebiańskich wodach
Nie dla zdobyczy
Ale dla ciszy jeziora

Mój Dziadek
Zamieszkał w Niebie

Z ziemi to strasznie daleko

Wyróżnienie

drukiem

Krzysztof Domka – godło *Krukowate*

Potrzeba

potrzeba tak przesiedzieć miesiąc
powiedziała prominentna ekspertka
ale proszę nie myśl o tym jak o feriach
nie to nie jest przerwa

potrzeba tak przesiedzieć myśląc
pomyślałem dobrze
będziesz mi niezłym dodatkiem
do kolekcji potrzeb

potrzeba tak przesiedzieć mierząc
siły na zamiary i na dni
potrzeba tak przesiedzieć przecząc
że nawet w miejscu siedząc można iść

zatem siedzę i unikam jej wzroku
i odkładam ją nadal
miłość w czasach jeszcze nie teraz
miłość w czasach zaraz

Maratończyk

niespełniony. spełniający się uśmiech;
podbite oko patrzące jednak wdzięcznie
jak astronom w kosmos;
(co jeszcze nie podbity,
ale kwestią chwili...)

obydwie nogi niby koncertowo złamane –
ale przecież za niedługo się zrosną.
blady jakby był martwy.
na twarzy spokojnej urazy,
siniaki jak laury.

co teraz i co teraz będzie?
pytali wyraźnie się martwiąc
ale czy to nie jest jakieś – nie wiem – piękne?
uganianie się za prawdą.

Kamil Jankowski – godło *Kamil*

Ślub

Panna młoda – cała na biało
Takoż ksiądz kapelan
Dwie (*excusez le mot*) świadkinie również,
Choć dla nich to strój powszedni.
Pan młody – biała pidżama
W niebieskie kropki.

Przez okno zagląda ciekawski
Oddział Jedenasty
Ze swojego leśnego pawilonu
Na zboczu Suchańskiej Góry.

Pamiętnik

Piątek:
Oliwka kończy zerówkę

Poniedziałek:
czwarty krzyżyk na karku

Środa:
ekstra tatuaż z Wiedźminem

Poniedziałek:
drapanie w gardle

Sobota:
(+)

Poniedziałek:
RTG w Izbie Przyjęć nie takie złe

Środa:
coś wbili w bok,
ucieka powietrze do butli z wodą

Piątek:

Małgorzata Luckner – godło *Mikasa*

Dziesięć minut

Przeszłość wraca bez zapowiedzi,
pod maską uśmiechu
wciągnięta w otchłań smutku i rozpacz,
przygryzając wargę
dopowiadam dziecięce wspomnienia.
Naiwna
w echu banalnych sformułowań,
w notarialnych kątach
Tylko albo Aż
dziesięć minut,
które pogrzebało dziecięcy sen o matczynej miłości,
zapowiedziało lepsze jutro,
skąpane we łzach szczęścia nowej nie rodzicielki.

Trzymając dwuletnią rączkę,
szepcząc ciiii... dziecino, nikt się nie dowie.

PROZA

I nagroda

Joanna Matlachowska-Pala – godło *Wilga*

Wieści z hospicyjnego ogrodu

Może śmierć jest po prostu przejściem do pokoju obok... Ja nadal jestem sobą. Ty też jesteś sobą. Kim dotąd byliśmy dla siebie nawzajem, tymi na zawsze pozostaniemy. Nazywaj mnie takim imieniem, jakim mnie zawsze nazywałeś. Rozmawiaj ze mną tak, jak zawsze rozmawiałeś. Nie używaj innego tonu. Nie rób smutnej ani uroczystej miny. Śmieję się nadal z tego, z czego śmialiśmy się wspólnie. Módl się. Uśmiechnij się.

Październik 2020 r. Otoczyć życie kolorem, właśnie tu i teraz.

Czas zawsze zawiesi się na konkretnym, choćby na tej lipie, którą mijam codziennie w drodze do pracy. Wtedy go widać. Uczepiony jej gałęzi potrząsa mi przed oczami prawdą o sobie, syjąc kolorami niemal do ostatniego listka. Aż nadto cię widzę – siedz cicho, goły jesteś – mówię mu, wchodząc po schodkach w inny wymiar czasu.

Listopad. Zwijam się, zwijam – mówi liść, gałązka, owoc. Liść zwija pięć palców w suchą pięść, owoc dąży do suchej pestki, pestka do ziemi, ziarno upodabnia się do kamyka, chłodne i gęste, gotowe by przetrwać. Nawet woda zwija się i gęstnieje – w bryłkę lodu. Widownia pustoszeje, choć przedstawienie trwa.

Grudzień. – Chciałoby się napisać, ale ogród w grudniu nie pokazał mi się ani razu przed zmrokiem. To jego nowe szaty – mrok i mgła. Za to tuż obok, za ścianą całkiem jasno. Najpierw śpiewaliśmy adwentowo, potem Anioł wystroił się w jodłowy wianek, potem choinka obrosła serdecznymi życzeniami, a pod nią pojawiły się prezenty od wielu gorących serc. W śróde mamy nadzieję pokolędować...

Styczeń 2021 r. Biel. Niekoniecznie szpitalna. Jej asceza zabiera cały nadmiar, pozostawiając zaledwie kilka szczegółów, które, gdy się przypatrzyć i uruchomić wyobraźnię i myśl, wystarczają, nabierają znaczenia. Biel to dobry przystanek przed Drogą.

Ten pomysł zapukał do hospicyjnych drzwi zupełnie nieoczekiwanie, była to ośnieżona środa, kiedy Monika zaczęła ustawiać sztalugi na korytarzach i klatce schodowej. Niesamowicie, że tego dnia tyle myślałam o galerii, co prawda innej, która powstaje we Wrocławiu, a ta przyszła sama, jak wspaniały prezent, niemal na zawołanie. Pan Bóg to potrafi, uśmiechnęłam się... Podziwiamy nastrojowe zdjęcia w jesienno-zimowych, pastelowych, mglistych klimatach. Można je zakupić, a darowana kwota będzie cegiełką na potrzeby Hospicjum. To całkiem dobre miejsce na kolejny mały wernisaż zdjęć wiosennych, a może wokół niego urosną inne „kulturalne” pomysły. Kto wie... hospicjum to przecież życie.

Luty. W hospicyjnym ogrodzie „misz-masz” i „ni to, ni sio”. Kopne śniegi, nagle roztopy. Ptasie ślady na niebieskim śniegu, ptasie, coraz śmielsze głosy na niebieskim niebie. Obudził się jeszcze ktoś, a miękka, rozmokła ziemia poddaje się bez protestu. Protesty to dopiero będą. O rety, krety!

Marzec. Fiołek nie daje się zabrać do domu. W trawie zostaje zapach, wilgoć i śpiew ptaków powyżej, jak ornament sceny. Delikatność wiosny pochyla głowę na cienkiej szyi łóżki. Przebiśnieg to zaledwie zapowiedź, pytanie: – Czy już? Z fiołkami wiosna rozgascza się na dobre i nie zamierza wychodzić.

Tu gdzie żyję, niebo łączy się z ziemią. Szczególnie dziś. Raz wydaje mi się to proste, a raz niepojęte. Co zrobiłam dzisiaj, jakie myśli przebiegły mi przez głowę – to wszystko nie bez znaczenia, tu, na styku światów. Jego ręka wychylona w dół, moja w górę, jak na ikonie Anastasis. Myślę dziś o tych, którzy czekają tak jak ja, z wyciągniętymi rękami. Przypomina mi o tym hospicyjny Anioł, gotowy na Wielkanoc i obecna tam ikona. I wspomnienia o niewidzialnych, jednak obecnych.

Kwiecień. Ten spóźniony przechodzień, zaledwie strzepnął pył z nóg w naszym ogrodzie i znika. Zbyt mało po sobie zostawił, zaledwie zapowiedź białego welonu wiśni, zaledwie pęknięte zielone pąki na kasztanach, stokrotki ledwo odrosłe od ziemi, wierzbę nie do końca ubraną. Chłodno mu, kicha i kaszle, wciąż otrzępuje z płaszcza białe płatki – nie zdążył się oporządzić gdzie indziej, leniuch. Stroszy się, wzrok odwraca. Ten piękny, skrzydlaty, zielony, rzeński młodzieniec najwyraźniej ma zły rok, ale przecież jeszcze tu wróci?

Maj. Wiosna powoli rozgościła się. Powoli. I nie jest zbyt rozbrykana. Lekkie chłody na przemian z deszczem. Zieleń krzewi się bujnie. Kalina za chwilę ubierze się na biało. Kwitną jabłunki. Móc dotknąć, popatrzeć, poczuć – dar nieoceniony!

Czerwiec. Gorące noce i dni. W pamięci zapach truskawek i czereśni. Kolor maków. Światło odważnie wadzi się z mrokiem, który zapada bardzo powoli, zupełnie jak pamięć. Życie i serce chce biec szybciej, wciąż jeszcze iść, nie zważając na nic.

Lipcowe południe w chłodzie pod drzewami, na trawie wilgotnej po porannym deszczu. Radość bycia, kiedy powietrze wystarcza za wszystkie

przyjemności świata. Jedynie głód wygania do domu, ale jak dobrze, że jest dom. Gdzie on jest, ten dom...?

Sierpień. Zieleń „rozrośliniała” w zenicie, zarosła wszystkie kąty, pnie się po płotach, pniach ku górze. Rozkwita, przekwita i owocuje. Powoli żegna się z ptakami, lecz nie przestaje śnić o skrzydłach. Jak ty.

Październik. Za oknem sypie się kolorowe konfetti. Potargane wiatrem płomyki gałęzi starych lip. Jeszcze ciepło. Nawet bezoki kret z różowym ryjkiem nie bał się dziś wyjść na chwilę. Znow urodziło się jabłko. Znow spadło. I urodziło się znow. Dawca Życia ma słabość do ogrodów...

Listopad. Gdy podnieść głowę, widok z hospicyjnego ogrodu na świat zmienia się, ale się nie kończy. Gdy patrzeć do ogrodu – jest podobnie. Czy jednak da się przechodzić przez bramę bez lęku? Przechodzenie przez nią i znikanie nie jest bezbolesne ani obojętne, budzi tyle emocji, których nie da się nigdzie upchnąć. To czas na otwarcie plecaka z upchniętymi emocjami, na stanięcie najpierw przed sobą, bo potem już tylko przed Nim.

Grudzień. Pod krótką kołderką dnia trudno zmieścić wszystkie sprawy. Całe to „dziś”. A gdzie miejsce na wczoraj i jutro? Grudzień przynosi niezauważalnie Nowe, choć w nikłej, skromnej postaci, prawie można przeoczyć. Domyka stare. Pod kołderką dnia tak mało miejsca, że łatwo o lęk i złość. Dopiero biel sprowadza ciszę. Lekki mróz wyostża oddech, ścina mgłę w głowie. Domki owadów w ogrodzie śpią spokojnie. Więc i ty?

Styczeń 2022 r. Dłuży się, sroży i mrozi, rozwleka poniedziałki ponad miarę. Oskubuje powoli igły z choinki, która chciałaby jeszcze trochę zostać – jak ta z baśni Andersena i ta stąd...

Luty. Wróciły głosy ptaków. Od tygodnia wyraźne poruszenie. Skąd wiedzą? Rozmiękła ziemia, bezśnieżnie, deszcze i wiatr. Wciąż szarość, ale zdarzają się nagłe wybuchy światła i niebo przypomina, że pod spodem, pod szarą poduchą jest niebieskie. Sterczą suche ogryzki na gałązkach jabłoni – zimą wszystko się przydaje. Ale wierzba obwieszcza przedwiośnie. To już. Po prostu. Czy przeniesiesz mnie przez próg wiosny? W dłoniach, w sercu, w pamięci? Mimo wszystko.

Wieczór. Nie tak dawna zamieć. Wychodząc stąd, zamykam drzwi pomiędzy jedną historią a drugą. Pomiędzy światem a światem. Stawiam delikatnie kroki na świeżej bieli. Ta biel przychodzi mi z pomocą. Rozmawiamy.

Czwartkowe granie i śpiewanie. Tylko nie płacz, jak ostatnio! – pani Eryka szturcha w bok panią Helenkę. Wzruszamy się razem, karmimy okruszkami nadziei, wspominamy siebie samych w tych piosenkach, nasze miejsca, gdzie je śpiewaliśmy kiedyś. Śpiewamy w naszym tu i teraz, gdzie „do zobaczenia” nie jest takie oczywiste.

Marzec. Przyszła. W moim fiołkowym miejscu już fiołkowo. Jest i przebiśnieg i złość. Na korze drzew dywanik czerwonych żuków – „love box”, jak nazywała je nieżyjąca już pacjentka, tak niedawno... Słowa te

zapamiętała poetka Irena Wyczółkowska i umieściła w jednym z ostatnich swoich hospicyjnych wierszy. Umarła chwilę później. A ja zapamiętałam przez to je obie, jak i tamtą wiosnę. Nie bój się opiewać wiosny. Nawet gdy wydaje się, że tuż obok, spuszczać oczy, stąpa wśród ruin i osmalonych kikutów drzew, a na kamieniach zostawia sól łez. Ona jest, budzi serce tak jak i ziemię, wskazuje na Życie, które stawia tamę śmierci. Wskazuje na Jestem.

Kwiecień. Mimo opóźnienia piszę w maju te parę słów z kwietnia. Robię to celowo, opóźnienie zastanawia mnie. Przypomina moje życie. Przyroda, w której codziennie szukam Obrazu, nie zaprzestaje ruchu. Jej powtarzalność jest czymś wiecznym. W powtarzalności tej jednak nie ma takiego samego źdźbła trawy, tegoroczny liść nie jest zeszłorocznym. O ileż bardziej niepowtarzalne jest moje i twoje oko. Nasze spojrzenie i Jego wzrok. Powitanie i pożegnanie. Zatrzymuję w oku kadr. Przyroda robi kolejny krok. Ja stoję?

Maj. Powietrze pełne dźwięków i zapachów. Maj przypomina o byciu delikatnym wobec tego, co się otwiera, wykluwa. O kruchości tego, co piękne. Przypina skrzydła. Skrzydła okien naszego domu otwierają się na oścież i unoszą jego mieszkańców w niebo, na które czekają, którego się boją, do Ogrodu gdzie czeka Ogrodnik.

Czerwiec. Kwiat w pół przekwitły. Owoc w pół dojrzały. Pełnia robinii i jaśminu, wiciokrzew zupełnie zatracą się w zapachu, gotowe stoją lipy. Historie na pół skończone? Życie przechyliło się w stronę „skąd powrotu nie ma, gdzie się kończy wiara, spełnia się nadzieja”. Zaprowadź mnie tam.

Lipiec. Czas lata przepływa powoli, dyszą godziny i minuty. Co było w pół dojrzałe czerwieni się i dopełnia. Brzęczą rozgrzane trawy. Jeszcze możemy wyruszyć na wakacje od przeznaczenia. Jeszcze możemy unieść stopy nad ziemię, zrobić krok. Nabrać powietrza o świcie, kiedy ciepłe światło rozprasza lęk. „Pan cofa cień wskazówki słonecznego zegara Achaza o dziesięć stopni...”

Sierpień. Świat i jego mieszkańcy... Kłujące mrówki, zabawne małe żuki, i te większe chrząszcze, motyle podfruwajki, niepotrzebne muchy... Całe to towarzystwo nagle znika gdzieś i przepada. Zupełnie jak człowiek. Telefon nie dzwoni. Dzwoni żal.

Wrzesień. Rumiane lato odchodzi. Uśmiechnięte. Policzki ma soczyste i pełne. Choć zawsze go za mało i czas za krótki. Szczególnie tutaj. Dorasta za szybko, cień wydłuża się za bardzo i niepostrzeżenie odrywa się od stóp. Rozwiany hen, niewidoczny. Pakujemy nerwowo soczystość w słoiki, zbieramy owoce. Zostawić coś na później, zamknąć zapach. Na półkach spiżarni serca słodko-kwaśno...

Październik. Nie chce mu się odchodzić. Przeciąga swą obecność ciepłem i kolorem. Słoneczna muzyka w południe. Jeszcze gdzieś zabrzmi ptak. Liść co jak oddech umyka leciutko. Nie opadła kurtyna. To nie dramat, lecz taniec?

Listopad. Raczej pusto. Rzadko ktoś odważy się wyjść do ogrodu. Listopad powoli poddaje się. Jak ty. Z ramion drzew dni wyskubują liście –

po jednym albo całą gromadę zbrazowiałych latawców, gdy wiatr zawieje. Zalegają potem w stertach. Coś, co było potrzebne – już nie jest? To niemożliwe. Przywiędłym jabłkiem raczyła się wrona – widać ślady. Podeschłe jagody aronii dla mniejszego ptactwa. Cała spiżarnia na cięższe czasy. Nie, to nie koniec opowieści. Jesteś w niej. Jesteś ważny.

Grudzień. Zimno dobiera się do skóry. Skórzasty liść zwija się i brązowieje. Mieszkańcy świata szukają domu. Gdzie znajdę dom? Tam, gdzie i ty. Pancerzyk przy pancerzyku, nie to, co skóra przy skórze, ale jednak trochę bliżej. Czerwienią, jak lampką, zakwita niemal zbutwiały dom w starym, zwiniętym liściu. Przeżyć.

Styczeń 2023 r. Po Trzech Królach świat poszarzał. Rozplotły się dłonie, odleciały uśmiechy, cichnącym echem rozbiegły się dźwięki muzyki Świąt. Niejedno serce dało sobie przyzwolenie, aby już nie trzymać się krawędzi widzialnego świata. Może odejść otulając się w biel, zostawiając delikatne, coraz słabsze ślady. Nie biegnij za nim zbyt długo. Spójrz w górę, nabierz głęboko powietrza. Mroźno, rześko, choć jeszcze pusto.

Luty. W lutym dni są tak do siebie podobne, że przebiegają szybciej. Z zima? Choć mróz puścił. Ziemia rozmiękła wilgocią. Drżą krople deszczu na gołych gałązkach derenia. Ze spalonych zeszłorocznych liści popiół. Znaczy cienie na czołach. Popielec. Jeszcze nie czas na zielen. W białych łózkach Wielkie Czekanie.

Marzec. Przedwiośnie przyszło drugiego marca, wraz z pęczkiem przebiśniegów na stoliku pani Heleny. Z przydomowego ogródka, który teraz bez jej troskliwej ręki żyje jak umie, trochę dziko, a trochę byle jak. Kilka dni później poczułam, siedząc za biurkiem, że słońce przez szybę wyraźnie, przyjemnie ogrzewa mi włosy i całą głowę. Szóstego marca obudziły mnie gołębie, kłaniając się na balkonie, a wczoraj zauważyłam zmianę koloru skórzastych pączków wiśni na lekko różowy. Patrzymy na świat jak na śpiącą królownę wciąż i wciąż, i nigdy nie nudzi się ta chwila, kiedy przeciera oczy!

Kwiecień. Drżysz ziemio i posady twoje są poruszone. Źródła wytryskują ze szczelin, Życie objawia się i śmierć nie ma już nad Nim władzy. Nasze znoszone i połatane ciała wstają, głowy podnoszą się jak kwiaty, a ramiona jak konary... Wszystkie imiona, którymi cię przezwano, rany, które ci zadano, choroby, których wcale nie chciałeś, nieprzebaczenia twoje i niepodgodzenia, które tkwią jak niechciane ciernie... znikną!

Maj. Siedziałoby się w zieleni... Przed budynkiem bzy i kasztany, nieustanny ptasi świergot, rześki zapach, oddech łatwiejszy i plany same się snują, kielkują niepowstrzymane jak perz. Przyszłość wydaje się istnieć, no bo przecież przyszła. Ta wiosna. Jak będą kwiaty w ogrodzie, pojedziemy do domu... Maj kaprysi. Jutro przychodzi z deszczem. Za zimno na wycieczki. Przestrzeń znowu się kurczy, krople na szybie i gdzieś w gardle, i w sercu. Biel kołdry jakby spóźniony śnieg. Pojutrze znów będzie słońce, a w Ogrodzie kwiaty... Ale, czy On będzie czekał?

II nagroda

Agnieszka Kania – godło *Szogun*

Nie ma spodni dla Kamila

Cnota – niegdyś sen starożytnych filozofów i pasja średniowiecznych mnichów. Nie ma spodni, nie ma koszuli, nie ma majtek dla Kamila. Matka tropi stare szmaty, w starych szmatach grzebie, stare szmaty drze. Szyje z nich dresy i koszule. Używa Łucznika, modelu 466, z paskiem klinowym, kołem zamachowym i wajchą do podnoszenia stopki. Maszyna do szycia ma pięćdziesiąt lat i działa, bo Bouszka o nią dba. Oliwi, czyści, smaruje, ostrożnie mocuje szpulkę na bębenku i nie szarpie dźwigni. Szmaty układa równo, wątek do wątku, osnowa przy osnowie. Zaciska stopkę i stębnuje. Dzień w dzień, noc w noc, bo Kamil niszczy, dziurawi i brudzi.

Najlepsza jest flanela, wyrzucone na łąchy poszwy z grubej, mięsistej, włochatej tkaniny. Ludzie wolą dziś bawełnę, satynę i jedwab. Coraz trudniej zatem o mocny materiał, jeśli się trafi to zleżały, sparciały i stęchły. Śmierdzi zgnilizną, wydaliniami, spermą, rzygowinami, odorem styranego ciała, robakami w zębach, grzybem między palcami, zepsutą kiszka i przeżartą wątrobą. Bouszka niucha szmaty jak wyżeł. Zanim coś kupi, jest powonieniem. Nosem. Majtkowe róże i szpitalne zielenie zafarbuje, ale nie pozbędzie się odoru trupa, który długo dojrzewał w pościeli.

Człowiek to nawet nie umrze w porę – mamrocze do siebie. Pazurami czepia się życia. Życie go kęsa, a on wgryza się w nie spróchniałymi kłami. Podłącza do kroplówek, respiratorów, wciska rury do gardła, jeden z drugim wymienia flaki: żywy bierze od martwego albo lepszy od gorszego żywego. A flanela to wszystko spisuje. Jest jak dziennik i nocnik, jak pergamin i bibuła.

Odkąd Bouszka łązi do *Lumpeksów*, *Secend hendów* śledzi drugiego. Podąża za drugim krok w krok, przetrząsa jego szafy, bieliźniarki i komody. Obracając w zgrubiałych palcach stare ciuchy, dotyka ludzkich i nieludzkich

chwil. U siebie w domu wymazuje z ubrań cudze życia. Gotuje szmaty w wywarze z lawendy, driakwi węzów, jaszczurzych języków i mięty. Czeką, aż się zgubi stęchlizna, aż się obcy rozpuści w oparach. Przecież nawet twarde góry rozpuszczają się w chmurach. Łachmany suszy na wietrze, wilgotne prasuje i zabiera się za szycie spodni dla syna.

Kamilowi brakuje cząstki piętnastego chromosomu, nie skopiował się jeden gen, ten, który wciska pstryczek ośrodka sytości. Choćby więc chłopak zjadł trzy golonki, sześć schabowych i budyń malinowy, to i tak go ssie z głodu. Na rozkaz głodu zrywa kłódkę z lodówki, przeczesuje schowki i ucieka z mieszkania, żeby pogrzebać w śmietnikach. Zna okoliczne kundły uwiązane do budy, zakrada się do nich i wyżera im chrupki z misek. Kamil pomyli łóżko ze stołem, babkę z ciotką, ale nie przegapi autobusu szkolnego. Rozkład jazdy ma wygrawerowany w zwojach. Czai się koło przystanku i zbiera od dzieciaków nadgryzione kanapki. Śmieją się z jego kłocowatych nóg, wykrzywionych ust i małych świdrujących oczu. Szydzą z niewyraźnych wrzasków zastępujących słowa. Nic sobie z tego nie robi. Jest Głodem. Ma dwadzieścia lat. Waży sto osiemdziesiąt kilo.

Jestem specjalistką od prawej nogi, która waży chyba tyle, co ja. W poczekalni kręcimy się wokół Kamila jak muchy. Nie ma komendy, żadnego: do startu gotowi hop. Jest odruch. Bouszka rozpląszcza się między nogami syna i próbuje objąć go w pasie. Czepiam się prawej nogi. Noga wierzga, chce wymierzyć cios w brzuch. Zakleszczam się. Przyklejam jak plaster. S. łapie drugą nogę, jest silniejszy, trenuje judo i skacze na trampolinie, trzyma kolano oburącz, nie musi się lepić do piszczeli. K. ma capnąć prawą rękę, M. lewą. Ale jest jeszcze głowa. Głowa potrafi gryźć i pluć, tak uderzyć z bani, że się zapowie-trzysz. A. maca żyłę. Szuka w ogromnym, napuchłym łokciu. To jakby prze-trzepać pociąg towarowy, bo w piątym wagonie od lokomotywy wyrzucono złotko po batoniku Prince Polo. A. pudłuje. Raz, drugi, trzeci. Celuje w dłoń, która wygląda jak piłka siatkowa. A. kłuje. Kamil ryczy. M. gubi głowę. Szczę-ki gryzą. Palce szczypią. Moja złapana noga się wymiguje i wymierza skopa w brzuch. Kulę się. Czepiam się uda, zanim uwolniona gira złamie pacierz S., który kłęczy przy lewym bucie. A. pudłuje. Krew cofa się w rurce. Zmiana ręki. Klucie. Każdy po swojemu zaklina pielęgniarkę i wenflon. Ta wzywa bogów. Ten bogów wyzywa. Ktoś stęka. Czerwień się cofa z rurki. Jeśli odstąpimy od leczenia ten potężny, agresywny chłopak wymknie się i skatuje Bouszkę. Boli go szóstka górna lewa. A. latają powieki. M. zaciska grdykę. Moja złapana noga mięknie. Propofol rozlewa się po ciele Kamila. Można go zaciągnąć na zabie-gówkę. Położyć pod lampą operacyjną. Burlączymy chłopaka jak rybacy łodzie po połowie w Zatoce Puckiej. Zwiotezale sto osiemdziesiąt kilogramów waży trzysta. Spodnie z flaneli drą się w szwach.

A przecież nie ma spodni dla Kamila. Bouszka znów pójdzie na łąchy, wyszpera sparciałą poszwę, wygotuje obcych.

Sęp

Milczy, wciska się w fotel i zastyga jak kisiel. Albo międli w palcach rąbek bluzy z napisem *Pantera*. Albo odmierza krokami pas od ściany do ściany: siedem kroków i zwrot. Siedem. Zwrot. Jeśli wydłużyć chód sześć, jeśli skrócić osiem. Na ósmy krok ryczy i wali pięściami w filar. Każdemu z tych strachów towarzyszy inny strach, również wystrojony: kołnierzyk, mankiet, spodnie w kant. Strach matek, ojców i opiekunów.

Ich strach można zająć wypełnianiem ankiet: Czy syn, córka, brat, wychowanek był ostatnio u fryzjera, stylistki i lekarza skórniego? Czy ma wycięte migdałki i ślepą kizkę? Krzywy kręgosłup, pieprzyki, koślawe stopy? Jakies siniaki, pęcherze? Czy uderza w gaz, pali fajki, wciąga kokę? Jaki kolor lubi, gdzie spędza wakacje, czy udziela się charytatywnie? Standardowa ankieta, która pasuje do upośledzonej umysłowo Haliny jak Maryla Rodowicz do autobusu miejskiego linii Pływalnia – Cmentarz.

Strach wpelza na parking oplastrowanym kombiakiem. Nalepki z wózkiem inwalidzkim wżarły się w szyby. Naklejki są jak żółte gwiazdy wszyte w rękawy. Znaczą kalectwo. Czasem strach wysypie się z zielonej Nyski, własności Domu Opieki Społecznej. Do rzęcha pakuje się po sześć strachów naraz, żeby podróż z Głucholazów się opłaciła. Natomiast w karetce pogotowia jeden strach konwojują aż cztery osoby. Przez dwoje oszklonych drzwi sanitariusze wtaczają sklejony z metalowym łóżkiem, przypięty pasami do poręczy, zgubiony pod ciężką kołdrą – strach. Niekiedy przydrepcze on z pobliskiego blokowiska, innym razem ciśnie się w pociąg relacji Opole – Racibórz i wymięty, objucony siatkami, torebkami, skoroszytami, człapie z dworca do pałacu Mamelka. Czy po drodze się gubi, skraca, kurczy? Czy się zapomina?

Odruchowo wydłubuję z kolejki pacjentów i opiekunów. Strach kuca dziś na środku korytarza.

Mówią na niego Sęp.

Cienki, z ptasią twarzą uwięzioną w dłoniach, gapi się w kolana bliźniaków ze szkoły specjalnej w Skorogoszczy. Łobuziaki siedzą na sofie. Wpili się w telefon. Oczami rozrzedzonymi pod denkami butelek, śledzą stwory ganiające po ekranie. Obok nich matka, krótką, przy sobie, podeszwami reeboków nie sięga do podłogi. Pod oknem kiwa się Jagoda. Bawi się warkoczem. Okręca rozdwojone włosy na palcach. I zapada się w siebie. Ta dziewczynka słyszy, jak chleb wpada do żołądka i mieli się w jego żarnach. Łowi uchem wypłutą z serca i rozbiegającą się po naczyniach krew. W kącie oka parkuje

czerwona mazda. Wytacza się z niej nadmiar męczyzny. Powtórzony chromosom Y rozbudował Hermanowi szczęki, zadbał o słuszny wzrost, półmetrowe stopy i obdarzył go krewkością, która wybucha w obcym miejscu.

Może Sęp skorzysta? – pokazuję kanapę.

Się nie ruszy – burczy matka.

Ja też nie uważam kanap – wtrąca się ojciec. – W kucki nogi nie boją.

Obydwaj kucacie?

Oba.

A pani?

Oblażę Sępy.

Jaszczurka

Nie wiedzieli jak jej to powiedzieć. Medycyna wybrała jej dziecku inne imię. Aligator. Na szczęście długo spała po cesarskim cięciu. Mieli czas, żeby się narodzić, zajrzeć do czytelní lekarskiej i uzgodnić, że prawdę wyjawia jej nazajutrz, kiedy przyjdzie ordynator. Wśród dermatoz wrodzonych znaleźli *ichthyosis letalis* i *keratoma*. Głosowali. Zwyciężyła rybía łuska. Brzmiała łagodniej niż rogowacenie, o ile w łacińskim słowie *letalis* matka nie doszuka się śmierci.

W chłopca wrodziły się dwa ułomne geny, jeden od matki drugi od ojca. Ta leniwa para nie odczytała ewolucji i zamiast ludzkiej skóry, podarowała dziecku pancerz gada. Aligatora. Reszta chromosomów zapracowała co prawda na zdrowe serce, nerki i jelita, ale narządy nie mogły urosnąć pod twardą skorupą. Przygniecione gorsetem musiały się skurczyć, skarleć, albo splątać jak wyrzucone na piasek glony: obślizgłe morszczyzny pęcherzykowate.

Po urodzeniu osesek wyglądał jak ziemniak wyjęty z ogniska. Gruba, szarobura skóra odłaziła płatami, odsłaniając żywoczerwone ciało. Spieczone, popękane wargi nie umiały ssać, zdrewniałe powieki nie potrafiły się przymknąć. Malec nie płakał. Kwilił cichutko, jakby się wstydził swojego życia. Był tak kruchy, że pielęgniarki bały się go wziąć na ręce. Jeszcze się im rozsympie jak średniowieczny pergamin.

Jak tych dwoje ludzi się znalazło? Ona wąta, przeźroczysta. On silny i porywczy. Czy ich leniwe geny się zwęszyły? Czy wypuściły race? Jakimi sztuczkami się posłużyły? W pojedynkę, zdominowane przez silniejsze geny, te recesywne miernoty nie miały szans się wybić, zrobić kariery, pokazać co potrafią. Sam na sam nie umiały zakpić sobie z Natury. Dopiero w parze cofnęły człowieka do gada. W duecie stały się groźne jak jeden taki car Iwan albo inny Władimir.

Po porodzie zmieniło się wszystko. Ona od cesarki nie grała na fortepianie. On nie ściagał się na zawodach. Jej Beethovenu to karmienie rurką

jedynaka i smarowanie rozpadlin pod pachami. Jego medale to nakłanianie chudych nóg do chodzenia, skostniałych paluszków do zginania.

Wrażliwcy z filharmonii spanikowali na widok chłopca. W kadrze sportowców też zawrzało: Słyszałeś o Dzikim? Już po nim... No co ty? To straszne. Urodziła mu jaszczura. Szkoda chłopca. W sumie niezły gość, trochę stuknięty. Mógł się jeszcze pościgać. Wyjechać jakiś puchar albo stuknąć mistrzostwo Europy. Rzucił sport dla kaleki. – Co ty wygadujesz? Biedny chłopak. Nie wiesz co z jego nartami, ma chyba ze trzydzieści par. Kanty ostre jak dziwki. – Wybacz Dziki, ty się płaczesz po szpitalach, a ja tu pieprzę o kantach.

Aligator nie miał prawa żyć, ale chciał żyć. I to po ludzku. Kroplówki przerabiał na płuca, mózg i wątrobę. Z miesiąca na miesiąc przybywało go, gram po gramie. Nie mógł się mierzyć z rówieśnikami. Od urodzenia mierzył się z wyrokiem śmierci. Wojował każdego dnia i każdej nocy. Kiedy zdrowe niemowlaki zasypiały odurzone mlekiem z matczynej piersi, on podkrażał płyn sączący się z kapilary. Był jak pustynne drzewo, które chłonie każdą kroplę deszczu.

Rodzice nie ukrywali synka przed światem. Przywykli, że ludzie wzdrygają się na jego widok, zasłaniają oczy, litują się i szeptają: potworne. – Ile pożyje? Staracie się o kolejne dziecko? Z początku tłumaczyli: że ich synek nie płacze podczas tomografii. Potem zamilkli, trwali cicho, wrastali w codzienność jak mech, który przywłaszcza sobie północne ściany. Oswajali szpitalne łóżka i przychodniane stołki. A kiedy chłopiec porzucał skórę jak wylinkę, zawijali go w kokon z chińskiego jedwabiu i szukali cienia. Jak pustynna jaszczurka.

III nagroda

Zbigniew Kostrzewa – godło *David*

Szabasowy sen

(fragment większej całości)

Kaplica była pobielona jak wiejska chata, W środku znajdował się mały ołtarzyk z obrazem Chrystusa ukrzyżowanego i dwoma lichtarzami na gromnice. Podłoga zbudowana była z grubych dębowych desek pomalowanych na czarno z wyciętym pośrodku otworem. Szczelnie zamkniętym, który prowadził do podziemnego, murowanego grobowca. Miał być rodzinnym grobem fundatorów tej cmentarnej kaplicy, ale nie wiadomo dlaczego stał pusty, a kaplica zamknięta i tylko raz w roku w Zaduszki otwierana na żałobne modły za zmarłych.

Ale przyszedł czas, kiedy grobowiec zaludnił się żywymi lokatorami. Pani Kołsutowa postanowiła ukryć tam żydowską rodzinę – Icka, Rywkę i Rachelę Cimermanów.

Był październik 1941 roku. Jesienna, szara, pochmurna pora. Wilgotne, dżdżyste powietrze i smutne półnagie drzewa, powitały czwórkę cieni, zbliżających się do cmentarnej kaplicy. Pani Kołsutowa szła pierwsza, a za nią trójka Żydów. Wszyscy obładowani tobołkami i walizkami, jak tragarze albo zabłąkani wędrowcy, ale wszyscy szczęśliwi, że nareszcie odnaleźli drogę i dobijają do końca podróży. Po omacku weszli do kaplicy, a potem po niskich schodach do grobowca. Dopiero teraz mogli zapalić świeczkę i wpaść sobie w objęcia. Po krótkiej chwili radosnego uniesienia przyszła pora na ostateczne ustalenia konspiracyjnych kontaktów, jakimi pani Kołsutowa miała się posługiwać. Zrozumieli, że przychodzi im tu egzystować na zupełnie innych zasadach. Od tej pory bezlitosny reżim nakazał im, inne niż tam w górze normy ludzkiej egzystencji – tu, żeby żyć, nie wolno się cieszyć, śmiać, radować, płakać, nie wolno głośno rozmawiać, tu można tylko się bać.

Pani Kołtusowa opuściła grobowiec, zamykając za sobą szczelnie wnękę w podłodze i drzwi kaplicy. A rodzina Cimermanów do późnej nocy urządzała swoje nowe mieszkanie w grobowcu. Potem długo nie mogła zasnąć. I przyszedł pierwszy sen. Przeniósł ich w świat szabasowych świec, baśniowy, wyczarowany jak z najpiękniejszej bajki.

Oto na stole okrytym długim, białym obrusem stały rozstawione naczynia z rybą na liściach sałaty, ogórkami, ćwikłą i pomidorową sałatą w octowej zalewie. A obok siekana wątróbka, ułożona na białej rzodkwi, dalej szabasowy bochen i chałka, rosół z kury, kurczak i kompot z suszonych śliwek, jabłeczny mus i wielki tort orzechowy z migdałami, kieliszki szabasowej wódki, syfony z wodą i dobra herbata z cytryną. A potem były modły i śpiewy.

Przyszedł ranek. Przez małą szparkę w podłodze zagadnęły do nich jasne promyki światła.

Icek zrobił wtedy pierwszą kreskę na ścianie. Zaczęli odliczać swój czas.

Wyróżnienie

finansowe

Andrzej Miś – godło AMP57

OPOWIADANIE POLSKIE (napisane z myślą o scenariuszu filmowym)

PROLOG

Budzi się następny dzień.
Rytm podstawowy narzuci światło.
Pozostałe wydarzenia będą odbywały się
indywidualnie w życiu każdego,
kto tylko otworzy oczy i będzie chciał
zastanowić się nad swoim losem.

ŚWIT

Światło wolno rozjaśniało mrok, który powoli przemieszczał się na zachód. Ciemność, której odcięło drogę ucieczki, chowała się w cieniu, aby jeszcze przez chwilę zachować swoje istnienie. Zaczynał się dzień, w którego świetle wychodząc z przejścia podziemnego, zobaczyłem dworzec. Wsiadłem do auta i jadąc ulicami Gdańska, zauważyłem coś niepokojącego. Padły strzały, ludzie uciekali w popłochu. Zatrzymałem się, wysiadłem z samochodu i kiedy zobaczyłem kilku milicjantów biegnących w moim kierunku, uciekłem w stronę kościoła. Ksiądz uchylił drzwi, pytając: Co tam się stało? Sam chciałbym wiedzieć – odpowiedziałem. Na co on: To Polacy walczą o wolność, pomógł im papież, ale oni i tak wszystko zaprzeczają. Gdy drzwi za-

mknęły się i zobaczyłem Sąd Ostateczny, zrozumiałem, że jestem w Katedrze Najświętszej Marii Panny.

Postacie z tryptyku rozbiegły się w mojej wyobraźni. Podniosłem wzrok, spojrzałem w okno, by zrozumieć, że:

*jest taka światłość, która zwęża tak źrenice,
że nic już nie ma i musisz od niej odwrócić oblicze*

I światło zlało się w jedną całość i wlało do mojej głowy. Zobaczyłem linię horyzontu, od dołu stopniowo odsłaniający się pas plaży i na niej osoby z obrazu Memlinga. Jedna z nich, młoda kobieta, zbliżyła się do mnie i gdy zobaczyłem jej twarz, prześwieciło ją światło, a ona nie odwracając się, pokazała mi plecy i oddaliła się tak szybko, jak przyszła. Jeszcze długo obserwowałem różne postacie, które zachowywały się tak, jakby mnie tam nie było. Jedynie starzec siedzący na piasku i kreślący dziwne znaki rzekł do mnie: Tutaj jej nie znajdziesz.

POWSTANIE WARSZAWSKIE

Poszedłem brzegiem. Na horyzoncie pojawiły się obłoki, które zaczęły układać się w dziwne wzory i światło jakby przyciemniało. Znalazłem się wśród ruin wielkiego miasta. Wydawało mi się, że jestem w piwnicy szpitala, w którym widziałem ją po raz ostatni w czasie Powstania Warszawskiego. Zobaczyłem siebie między ciałami powstańców, których przed chwilą zabili Niemcy. Oddalali się teraz, prowadząc grupę personelu szpitala, wśród której była ona. Nie mogłem nic powiedzieć, tak się bałem. Pamiętam tylko krzyki kobiet i Niemca, który, strzałem w głowę dobijał każdego rannego. Później moment, kiedy przeszył mnie ból i obraz oddalającej się grupy. Kiedy dotknąłem głowy, zrozumiałem, że jestem ranny. O zmroku przyszli sanitariusze. Kilka dni przeleżałem w piwnicy i kiedy dowiedzieliśmy się, że powstanie upadło, przepравиłem się na drugi brzeg Wisły.

AUSCHWITZ

Byłem tak słaby, że prąd rzeki zniósł mnie daleko. Na brzegu spotkałem kobietę z pustym wózkiem, który kołysała i cicho coś śpiewała. W oddali zobaczyłem druty kolczaste ogrodzenia, takie jak w Oświęcimiu, w którym znalazłem się kilka miesięcy później. Widziałem bocznice kolejową, na którą Niemcy zwozili ludzi z całej Europy.

W świetle lamp przy akompaniamencie ujadających psów i krzyków SS-manów dokonywał się ostatni etap ludobójstwa. Ludzie odchodzili w niebyt poprzez krematorium lub koszmar egzystencjalny. Światło przecho-

dziło w negatyw i powoli gasło, dostrzegałem kontury wynędzniałych ciał, słyszałem krzyki ludzi w komorach gazowych. Głosy stopniowo zlewały się, aby przejść w dźwięk dzwonów. W całkowitej ciemności usłyszałem chór. Pochyliłem głowę, zobaczyłem posadzkę. Światło stopniowo oblało kontury tego, co po chwili zacząłem poznawać. Wewnętrzne przekonanie, że jej tam nie było, trochę mnie uspokoiło. Wyszedłem z kościoła, zastanawiając się, dlaczego to wszystko musiało się wydarzyć.

NOC – DZIEN

Za kilka godzin siedziałem w pociągu, wracając do Krakowa. Myślałem o jutrzejszym dniu i nie wiedząc, że zasnęłam, zobaczyłem na korytarzu twarz, a później jej plecy. Wstałem i pobiegłem za nią. Przeciskaliśmy się przez zatłoczony korytarz i gdy na końcu składu pociągu odwróciłem ją, chwytając za poły rozpiętego płaszcza, uderzyło mnie w twarz powietrze.

Trzymałem w rękach uchwyty otwartych drzwi, a na torach zobaczyłem jej stopniowo oddalającą się postać. Nagle drgnąłem, otworzyłem oczy i znowu znalazłem się w przedziale. Kobieta siedząca naprzeciw, swoją reakcją nie zgłaszała zdziwienia. Za kilka dni miałem podobną przygodę. Tym razem, wracając do hotelu, zaprosiłem podobną do niej kobietę spotkaną na korytarzu. Pamiętam, jak myśląc, że wylewam wiadro wody na palące się zasłony, chlusnąłem jej prosto w twarz. Kłęła strasznie i myślałem, że będzie się awanturować, ale jak dałem jej garść pieniędzy, przebrała się, zagadkowo uśmiechając. Poszliśmy spać, wiedząc, że jutro będzie ciekawy dzień.

Rano pojechaliśmy do studia w Alwerni. Umieszczono mnie w pomieszczeniu. Obok było podobne, tak samo urządzone, a w nim kobieta podobna do niej.

Obraz jej, metodą holograficzną przekazywano do mojego pokoju, stwarzając wrażenie jej obecności. Przemieszczała się, niczego nie zmieniając, wirtualny obraz dawał wrażenie jej obecności, ale kiedy chciałem jej dotknąć, ręce natrafiały na powietrze.

I tak upływały noce i dni. A ja nie wiedząc, co jest snem, a co rzeczywistością, patrzyłem na świat jak na obrazy oglądane w płomieniach i zapisane kartki papieru, które przed zapaleniem, wykrzywione w ogniu nabierały cech wyrazistości.

Wykorzystałem w ten sposób możliwości studio, choć tak naprawdę pracowaliśmy nad metodą wirtualnego przekazu w technice trójwymiarowej i nad obróbką komputerową obrazu obiektu filmowanego z wielu kamer. Metodą tą uzyskiwano efekt quasi przestrzenny, który można wykorzystać w telewizji i w filmie. Pozwoliłoby to też wyeliminować konieczność cięć i błysków dających efekt stroboskopowy, obciążający wzrok, przez co obraz stałby się płynny. Miganie jest dobre w reklamie, bo działa impulsem, który

wnika do naszej podświadomości. Sprowadza widza do roli organizmu jednokomórkowego, który nie ma tak doskonałego narządu, jak oko ludzkie, które zasługuje na coś lepszego niż błysk.

Błysk jedyna atrakcja,
coś, co nie wytrzymuje
próby czasu.
Szokować chwilą,
która nie kocha czasu.

Uspokojenie kadru z efektem quasi 3D może zapoczątkować nową epokę w kinematografii na miarę np. udźwiękowienia filmu. Metoda ta mogłaby być zastosowana w transmisjach sportowych, pokazach mody i dla efektów specjalnych w reklamie, szczególnie przy filmowaniu obiektów symetrycznych. Innym razem umieszczaliśmy obiekt centralnie i filmowali z wielu kamer, żeby poddać go obróbce komputerowej.

Później z każdym dniem coraz częściej odbywałem podróże w zaświaty i w chwili obecnej, nie wiem, czy to, co dostrzegam, jest snem czy jawą. Uczucie bólu rozpierającego moją pierś klóci się z fascynacją światłem, którego natężenie narasta.

Widzę na jasnym tle jej postać zbliżającą się i oddalającą tak, jakby była sumą obrazów w nieskończonej ilości projekcji widzianych z każdej strony.

Nie wiem tylko dlaczego jadę, leżąc na wózku, nad drzwiami widnieje napis: intensywna terapia, ale to już nie ma większego znaczenia, kiedy dzień dobiega końca.

EPILOG

Dopełnia się dzień.
Linia horyzontu
odetnie dopływ światła.
Zmrok stworzy
nastrój nocy, w której
spełnią się marzenia,
jeśli tylko jest ktoś,
kto myśli o Tobie
tak jak Ty o nim.
Więc oddaj się marzeniom
albo zaśnij, aby obudzić
się jutro, by zacząć
wszystko od nowa.

Wyróżnienie

drukiem

Anna Pituch-Noworolska – godło *Obcy*

Biały renifer

Ból pojawiał się nagle, paraliżował pośladek, udo i mięsień czworogłowy uda. Oczywiście wiedział, że to mięsień czworogłowy uda, przecież był lekarzem. Ból był tak silny, że stawał, udawał, że czegoś szuka w aktówce, poprawia kurtkę i zamek, i czekał, aż ból zelżeje. Potem ruszał dalej.

– Tak, to tylko rwa kulszowa – tłumaczył sobie. Wystarczy trochę witaminy B i leki przeciwbólowe. Gdzieś z tyłu głowy pojawiała się myśl, że nie będzie mógł prowadzić samochodu. I to już był problem. Kochał samochody, sprawne, szybkie o gładkiej, pięknej linii. Prowadził od matury, gdy tylko zdał egzamin, a od ojca dostał śmieszne małe auto – Fiat 126p. Teraz miał dwa samochody – miejski mały Mercedes i duże wygodne BMW do dalszych wypraw takich jak Włochy. I co teraz, skoro nie będzie mógł z tego korzystać. To uświadamiało mu listę ograniczeń, jaka go czeka z racji wieku, kłopotów ze wzrokiem, a teraz jeszcze rwa kulszowa. Nie, nie, na razie się nie podda... Wypisał sobie zestaw witamin z przewagą grupy B, zapisał zastrzyki z B12, sprawdził, które z leków przeciwbólowych mają najmniej skutków ubocznych i zaczął walkę z rwą. Ostre ataki bólu ustały, natomiast pojawił się nowy objaw – po 2-3 godzinach pracy bolał go nie tylko lewy pośladek, ale i prawy, cierpły palce u stóp. Wybrał się do zaprzyjaźnionego neurologa.

– Tak, to jest zapalenie nerwu kulszowego, trzeba sprawdzić kręgosłup – widząc pytające spojrzenie pacjenta, lekarz dodał – najlepiej MRI okolicy krzyżowej i lędźwiowej.

Wyszedł od neurologa i w oczach miał zarastające otwory wyjściowe nerwu kulszowego, konieczność operacji, powikłania, porażenie, tzw. podmyki, postępujące dolegliwości, bo przecież zmiany kostne się nie cofną same,

a czas biegnie, więc będzie tylko trudniej i gorzej. Z drugiej strony, to tylko zapalenie nerwu, przecież mogło być zupełnie co innego. Ilu jego kolegów walczy z nowotworami, przewlekłymi schorzeniami, które zupełnie zmieniły ich życie, wyrzuciły na margines, skazały na samotność cierpienia i starości. A jeśli okaże się, że ucisk na nerw jednak wynika z guza w obrębie rdzenia... Tej nocy spał źle, budził się kilka razy i ponownie zasypiał. Następne noce nie były lepsze. Wybudzony sprawdzał, czy to jego mieszkanie, czy może poruszać stopami, czy stanie na nogi bez bólu. Gdy to sprawdził, leżąc z otwartymi oczami, przypominał sobie swoje wakacyjne podróże. Jednej z takich niespokojnych nocy wróciło wspomnienie jesiennej podróży tym małym śmiesznym samochodem na daleką północ Finlandii. Noc spędzili w namiocie na brzegu jeziora Inari. Słońce zachodziło za taflę jeziora, ale tylko do poziomu horyzontu. Nawet o północy widoczna była jego tarcza. Biała noc. Wakacje nie były specjalnie udane, bo piękny złoty wrzesień w Polsce, tu był zimnym, wilgotnym i deszczowym listopadem, ale i tak nikomu nie brakowało entuzjazmu. Nocleg nad Inari był ostatnim punktem wędrówki na północ. Teraz powoli wracali na południe. Mijali pojedyncze samochody, najczęściej ciężarówki jadące do Norwegii. Około pół godziny jazdy od brzegu Inari pod lasem tundrowym zobaczyli białego renifera. Zwolnili, żeby mu się przyjrzeć, a on podniósł łeb i spojrzał w ich stronę. To nie była pora na zmianę okrywy na zimową, inne renifery, które widzieli w stadach, były ciemne jeszcze w letniej okrywie. Zapytany Lapończyk w małej miejscowości, nie bardzo chciał wyjaśnić, skąd biały renifer o tej porze roku i czy to coś szczególnego oznacza. Czy taki widok nie jest przesadą, podobnie jak spotkanie czarnego kota? Na parkingu spotkana Laponka w ludowym stroju powiedziała:

– No to macie szczęście. Białe renifery przynosi powodzenie, dobre zdrowie i długie życie, ale nie mówcie o tym, że go widzieliście i gdzie się paś, bo wtedy ktoś go zabije dla jego skóry. Pamiętał tę Laponkę, a w wyobraźni widział zabitego renifera obdartego ze skóry, bez poroża, pozbawionego mięsa. Dla dzikich zwierząt tundry i ptaków pozostał szkielet, wnętrzności i kopyta. W końcu skończyła się bezsenność. Tych nocy było coraz więcej. Wracają wspomnienia te dobre i te bardzo trudne, złe, pełne przemocy, bezsilności i poczucia bycia przegranym. Niepokój i oczekiwanie na pogorszenie sytuacji i kolejne objawy, napady bólu i bezsenność zmęczyły go bardzo. Przyjaciół, któremu się przyznał do kłopotów z bezsennością, umówił go do psychiatry.

– Ma pan napady paniki. Niestety wśród lekarzy, którzy chorują przewlekłe, a taka postać rwy kulszowej zazwyczaj jest przewlekła, to dość częste zjawisko. Lekarze to najgorszy rodzaj pacjenta – z jednej strony wiedza, na co chorują i jak taka choroba przebiega, z drugiej świetnie wiedzą czym grozi terapia, czyli jakie ma skutki, jakie jest rokowanie i oczywiście, na ile można uzyskać poprawę lub wyleczenie. Pan nie ma śmiertelnej choroby, aczkolwiek jest to przewlekłe, postępujące zwyrodnienie kości i jego konsekwencje.

– Jakie napady paniki, kolega mnie do pana umówił, bo mam kłopoty ze snem i jestem zmęczony. Nie biorę tabletek nasennych, bo prowadzę samochód. I tyle. O czym pan mówi, ja nie mam żadnych kłopotów psychicznych.

– Z wyjątkiem lęków i koszmarów sennych dających bezsenność. A to już są objawy, które należy leczyć.

– Nie zgadzam się na leczenie psychiatryczne.

– Tak, wiem, żaden lekarz się nie przyzna, że ma kłopoty psychiczne. Wszyscy jesteście silni, wspaniali, mądrzy i potrafcie kontrolować swoją psychikę, opanowywać problemy. Tylko, że znaczny odsetek lekarzy na skutek stresu i frustracji kończy jako alkoholicy wymagający terapii. Psychiatra wyraźnie drażnił pacjenta, ale był to zabieg celowy. Chciał mu uświadomić, że jak każdy musi uporać się z nową sytuacją, z nowym problemem, jaki podkłada mu los.

– No, dobrze. A czy melatonina wystarczy – lekarz starał się sprawić wrażenie zgodnego pacjenta przyjmującego uwagi i zalecenia.

– Nie, pan potrzebuje czegoś, co pozwoli panu normalnie funkcjonować w ciągu dnia, jeśli pan nadal pracuje i wypoczywać na tyle dobrze, by nie czuć się zmęczonym. Przecież z tym pan do mnie przyszedł.

Lekarz milczał chwilę. Zdał sobie sprawę, że jest u psychiatry i to po tej drugiej stronie biurka niż ta, po której bywa zazwyczaj. Był pacjentem i to w gabinecie specjalisty, co do którego nie wyobrażał sobie, że tu przyjdzie, że będzie potrzebował pomocy. Chociaż gdyby na to popatrzeć, jako doświadczenie to jest ciekawe, ale tylko raz, nigdy więcej. Posłucha, co jeszcze ma do zaoferowania psychiatra i na tym koniec. Da sobie radę sam, bez pomocy, to przecież nie są koszmary, to wcale nie są napady paniki, doktor przesadza, on tylko ma zaburzenia snu. Poczeka na wyniki badań, zacznie leczyć rwę kulszową, bo to się przecież leczy i wszystko wróci do normy.

– Proponuję panu lek przeciwdepresyjny, który pozwoli opanować lęk, spokojniej znosić napady bólu, jeśli będą. Przy tym leku może pan prowadzić samochód, bo już pan wspomniał, że to ważne dla pana, że codziennie pan korzysta z samochodu. Oczywiście, o ile ból panu na to pozwoli. Wypiszę receptę. Proszę zacząć od jednej tabletki rano. Efekt zacznie być odczuwalny po 10-14 dniach.

– Jaki efekt – zapytał lodowatym tonem, bo nadal nie miał ochoty na cokolwiek kontrolującego jego psychikę.

– Będzie pan znacznie spokojniejszy, powinno zniknąć uczucie niepokoju, oczekiwanie na coś niespodziewanego, przykrego, złego. I powinny być spokojniejsze noce, bez napadów paniki. W sytuacji znacznego niepokoju, ciężkiego dnia, można drugą tabletkę wziąć wieczorem.

– Już mówiłem, nie mam napadów paniki, to przecież inaczej wygląda, nie mam kłopotów z oddychaniem, bólem za mostkiem, nie mam duszności. Po prostu budzę się w nocy – lekarz uparcie powtarzał to, co już powiedział. Psychiatra lekko się uśmiechnął.

– I sprawdza pan czy może ruszać stopami, czy nie boli, czy może pan stanąć i iść, tego pan nie powiedział, ale najczęściej tak właśnie jest. Nie sprzecajmy się o terminy. Spróbuje pan tego, co proponuję, zobaczymy jaki efekt, a widzimy się za 6 tygodni. Wpiszę pana na wizytę.

– Pan ma kolejkę do przyszłego roku – zaprotestował lekarz.

– Tak, ale dla kolegów po fachu zawsze mogę znaleźć miejsce poza kolejką, więc do zobaczenia za 6 tygodni.

Raczej nigdy – pomyślał lekarz, wychodząc z gabinetu. Nigdy więcej. Nikomu nie będę opowiadał o swoich kłopotach, o tym, co mi się śni. Wizyty u psychiatry, psychoterapia to dla tych, którzy nie umieją sobie radzić w życiu, których każdy problem przerasta. Jego nic nie przerasta. Wykupił receptę, ale po powrocie do domu lek wrzucił do szuflady. Niech leży. Postanowił kontrolować sytuację po lekarsku. Zmierzył obwód łydek i zapisał – raz na tydzień będzie to sprawdzał, bo jeśli będzie narastało porażenie lewej nogi, to łydka zacznie być szczuplejsza. Sprawdził, kiedy są wolne godziny na basenie – będzie pływał co najmniej 2 godziny w tygodniu, żeby utrzymać siłę mięśniową i przewodnictwo nerwu. Postanowił również, że zamiast jeździć samochodem po mieście, będzie chodził lub jeździł autobusem, bo musi dojść do przystanku, a z przystanku do miejsca docelowego. Tak, to pozwoli kontrolować i zahamować postęp choroby.

Był konsekwentny i systematyczny. Powoli, przywieziony z konferencji blok do notatek zapełniał się zapiskami. Osobne kartki na obwód łydek, osobne na zapisy napadów bólu, osobne na regularne zapisy pływania, prób wysiłkowych, jakie stosował i efektów ćwiczeń. Zapisu stosowania leku od psychiatry nie było, za to kartki poświęcone efektom stosowania witamin, zmian leków przeciwbólowych było już sporo. Ostatni podrozdział to wyniki badań biochemicznych (kontrola skutków ubocznych stosowania leków przeciwbólowych) oraz wszystkich innych. Stawiał sobie coraz większe wymagania – spacerować już nie tylko dwa razy dziennie po 30 minut, ale po 60 minut i coraz szybszym tempem, które oczywiście kontrolował i zapisywał. Ostre, napadowe bóle ustąpiły, ale pojawiał się tępy, głęboki ból, który zmuszał go do przerw w prowadzeniu samochodu, wstawania od biurka pod pretekstem wezwania następnego pacjenta czy oddania pielęgniарce karty poprzedniego chorego. Robił się czujny i uważny, zwracając uwagę na to, czy ktokolwiek zauważył, że ma problemy. Sam nie mówił nikomu o swojej chorobie, ale też nikt go o zdrowie nie pytał, bo pracował jak zwykle, zwolnienia lekarskiego nie brał. Wreszcie nadszedł termin ustalonej wizyty u psychiatry. Wielokrotnie powtarzał sobie, że ją odwoła, że opowie, że wspaniale się czuje po tym leku (którego nazwy nawet nie pamiętał), że zamyka problem, że... Ostatecznie nie odwołał. Psychiatra był jedynym lekarzem, który wiedział o jego poważnej chorobie, który, choć zajmował inne stanowisko w tej sprawie, mógł i chciał go wysłuchać.

Wszedł do gabinetu sprawnym szybkim krokiem. Niech sobie psychiatra nie myśli, że zaczyna być niesprawny, że choroba go ogranicza, zmusza do zmiany zachowania, modyfikuje jego życie. To on ją kontroluje i nad nią panuje, co więcej ograniczył jej postęp.

– Jak się pan czuje, czy stosowanie leku cokolwiek zmieniło – zapytał spokojnym tonem psychiatra. Widział ten „pokaz siły i sprawności”, ale celowo nie zwrócił na to uwagi. Zauważył segregator w rękach pacjenta. Był ciekaw, co notuje jego pacjent, czy tylko wyniki badań, czy coś więcej. Samotni, chorujący mężczyźni, zwłaszcza lekarze, często prowadzili „kartę choroby”, notując obserwacje, tak jak robią to swoim szpitalnym pacjentom, tyle że teraz dotyczyło to ich samych.

– Tak, miał pan rację, noce są lepsze, jestem wyspany i mniej zmęczony. Ale wynika to też i z tego, że wprowadziłem wiele zmian w swoim życiu i kontroluję postęp choroby. Jeśli pan pozwoli, to pokaże co zrobiłem i jak postępuję, może się panu to przyda dla innych pacjentów. Opowieść o przebiegu choroby i stosowanych sposobach spowalniania jej objawów zajęła ponad pół godziny. Psychiatra musiał szczegółowo ocenić efekty planowych i realizowanych zajęć fizycznych, stosowanych witamin, leków przeciwbólowych z uwzględnieniem ich czasu działania, wzajemnych interakcji, efektów ubocznych... Chwilę milczał.

– Gratuluję poprawy kondycji fizycznej. Każdy z nas, pracujący z przewagą siedzącego trybu i komputera powinien uprawiać aktywność fizyczną, regularnie w proporcji do swoich możliwości. Tu ma pan rację i jak widać, to znacznie poprawiło sytuację i zmniejszyło objawy. Ale nie sądzę, aby były potrzebne tak szczegółowe notatki, traci pan na nie sporo czasu, szkoda go na to. Proszę zaprzestać pisania, a po prostu kontynuować to, co przynosi poprawę. Powinien pan za kilka miesięcy powtórzyć MRI kręgosłupa, żeby ocenić zmiany kostne, bo to jest istotne dla postępu choroby. Umówimy się na następne spotkanie za 3-4 miesiące.

Ku własnemu zdumieniu lekarz zgodził z uśmiechem. Tak, rozmowa z psychiatrą była ważna, to przecież jedyny człowiek, który wiedział, jak bardzo efektywnie on walczy z chorobą. Nikomu innemu nie mówił, co się dzieje. Bał się, że szpital rozwiąże z nim umowę, że będzie musiał wreszcie zacząć być emerytem. Nie miał żadnego pomysłu na czas wolny, zawsze była tylko praca, tylko szpital i pacjenci, więc musiał być w dobrej kondycji, pracując jak zwykle. Lęki, te nocne, których było coraz więcej i coraz trudniej było je opanować, chował głęboko. Wbrew radzie psychiatry nadal zapisywał swoje notatki i segregator pęczył. Jedyne czego w nim nie było to nocne wybudzenia, koszmary, wspomnienia osób bliskich, które już nie żyły, rozmowy ze zmarłą żoną, kuzynem, którego w życiu nie znosił. Nie, tego nie zapisywał. To był jego sekret chowany najgłębiej.

– Panie doktorze jest jeszcze jeden pacjent, przyjmie go pan. Ja wiem, że się spóźnił, ale miał kłopoty z dotarciem – rejestratorka weszła do gabinetu z kartą pacjenta

– Nie, pani Basiu, ja muszę wyjść, ja już skończyłem, mam inne zajęcia. Proszę go zapisać na przyszły miesiąc. Nie ma mowy, żebym go teraz przyjął – wymownie spojrzął na zegarek. To była pora jego spaceru, nie da sobie zepsuć planu dnia, potem ma basen, a wieczorem zapisuje swoje obserwacje. Nie, zmiana planu dnia nie wchodzi w rachubę, to przecież jego schemat walki z rwą, to nie może być zaburzone. Pacjent może przyjść za miesiąc. Pielęgniarka słuchała ze zdumieniem. To był tylko jeden spóźniony pacjent. Skąd taki wybuch, dlaczego tak ostry protest, to tylko kilkanaście minut. Doktor nigdy tak nie reagował. Zawsze mówił, że pacjenci są najważniejsi. Może miał zły dzień, może mu coś dolega – pomyślała.

– Dobrze, rozumiem, przekażę chorego do sąsiedniego gabinetu, żeby go nie odsyłać, to starszy człowiek, który z trudem chodzi. Miał zaplanowaną kontrolę w dniu dzisiejszym i był zapisany do pana.

Rejestratorka wyszła z kartą chorego. Lekarz szybko zebrał swoje rzeczy i nie mówiąc nawet „do widzenia”, opuścił budynek. Jak mogła mu przynieść tę kartę, przecież on już skończył pracę, przecież teraz ma spacer. Sytuacja zdenerwowała go. Musi uprzedzić rejestrację, żeby pilnowała czasu, że pacjenci mają być punktualni, a on punktualnie kończy pracę. Wyruszył na zaplanowaną trasę spacerową. Ze zdenerwowania nie sprawdził czasu rozpoczęcia swojego spaceru. Gdy wrócił, zdał sobie sprawę, że nie wie, ile to trwało, a ponieważ było to niedopuszczalne, żeby opuścić pomiar, postanowił jeszcze raz odbyć planowany spacer, teraz już z pełną kontrolą czasu. Potem basen, zgodnie z planem dnia i notatki, teraz już prawidłowe. W końcu położył się spać bez posiłku, bo na to już zabrakło czasu przez powtarzany spacer i realizację rutynowego programu dnia. Postanowił, opowiedzieć to psychiatrze, żeby pokazać, jak bardzo jest konsekwentny i zdyscyplinowany, panujący nad sytuacją, bez leków psychiatrycznych. Segregator był wypełniony, więc pewnego wieczoru przeniósł zapisane kartki do znacznie pojemniejszego segregatora. Był dumny ze swojej dokumentacji.

Tym razem psychiatra był bardziej poważny i czujny. Jego uwagę zwrócił gruby, wypełniony kartkami segregator. Więc pacjent nie zaprzestał zapisywania swojej historii, przeciwnie nasiliły się objawy kontrolowania sytuacji. Tak, to już spełniało kryteria obsesji. Miał również wątpliwości co do możliwości leczenia ambulatoryjnego, gdyż był przekonany, że pacjent nie zażywał zleconego leku. Widzieli się po 3 miesiącach, recepta była tylko na jedno opakowanie, czyli zabezpieczenie na miesiąc, a pacjent nie upominał się o receptę na tak dobrze działający lek. Czyli albo go nie wykupił i wyrzucił receptę, albo lek leży w najgłębszej szufladzie. Tak, to był jego pacjent, tylko jak go zmusić do terapii. Objawy obsesyjne wyraźnie narastają. Należało poprowadzić rozmowę tak, aby nie zdradzić swoich podejrzeń co do rzeczywistych objawów pacjenta. Przecież był lekarzem.

– Proszę mi opowiedzieć, co się działo przez te 3 miesiące. Wygląda pan bardzo dobrze, regularny tryb życia z kontrolowanym wysiłkiem fizycznym panu służy. Wygląda pan młodziej i bardziej zdrowo. Pacjent otworzył segregator, chwile przerzucał kartki, w końcu znalazł to, czego szukał i odwrócił go w stronę psychiatry.

– Widzi pan, od tego dnia mogłem już bez wysiłku wchodzić na czwarte piętro, a przedtem miałem kłopoty. O, proszę tu spojrzeć – zapisałem to pod tą datą. Dumny ze swoich osiągnięć lekarz, pokazywał kolejne kartki z zapisami. Psychiatra uważnie oglądał zapiski, które mówiły o wszystkim tylko nie o rwie kulszowej, co oznaczało, że bóle i stan zapalny ustąpiły natomiast pozostała obsesja pacjenta. Co więcej, w zapiskach pojawiły się również notatki o stosowanej diecie, wyraźnie narastających restrykcjach pokarmowych.

– Rzeczywiście, udało się panu wiele osiągnąć. Mam pytanie – czy pan pożyczyłby mi te swoje zapiski, żebym mógł spokojnie je przestudiować, może to jest pomysł, który przedstawię kolegom. Może jest to pomoc dla niektórych moich szpitalnych pacjentów. Patrzył uważnie na pacjenta i zobaczył to, czego się spodziewał – panikę, że może zabrać mu ten segregator.

– No, nie wiem – lekarz wyraźnie był zdezorientowany, z jednej strony brzmiało to pochlebnie, czyli zrobił coś wartościowego, a z drugiej nie mógł sobie wyobrazić swojego życia bez tych notatek. To tak jakby ktoś zabrał mu pamięć, poczucie rzeczywistości, a przede wszystkim kontrolę sytuacji.

– Wolałbym nie – dokończył dość cicho, żeby nie pokazać, jak bardzo się przestraszył tego pomysłu psychiatry.

Psychiatra miał potwierdzenie narastającej psychozy obsesyjnej. Tylko jak zaproponować leczenie szpitalne, żeby pacjent się na to zgodził. Musi się zgodzić, nie ma innej możliwości, żeby go zacząć leczyć, ale kontrolowanie. Po chwili zastanowienia, z uśmiechem powiedział

– A gdybym panu zaproponował pojawienie się w mojej klinice z tymi notatkami i samodzielnie przedstawienie ich moim kolegom psychiatrom, co pan na to?

– To mogę rozważyć, ale ja pracuję, musiałbym wciąć urlop – 2-3 dni wystarczą – przychodziłbym rano na odprawę, a potem wracał do domu.

– Nie, ja to widzę zupełnie inaczej, pan zostałby na cały dzień pracy u mnie, żeby zapoznać wszystkich nie tylko z efektem końcowym, ale z całym procesem dochodzenia do tego efektu. Proszę to rozważyć. Szkoda zaprzepaścić taki wysiłek, jaki pan włożył w autoterapię. Psychiatra kontrolował każde słowo, niemal każdy przecinek, ale już widział, że „ryba połknęła haczyk”. Teraz tylko powoli, delikatnie, żeby jej nie spłoszyć.

– Dobrze, proszę wyznaczyć termin, żebym zdążył przekazać koledze swoich pacjentów i mógł zgłosić się do pana. Uśmiechnął się i pogłaskał segregator – to jego dzieło i on je przedstawi innym.

Na oddziale psychiatrycznym zapadała wieczorna cisza. Pacjent odłożył czytana książkę. Nie ochroniłeś mnie, biały reniferze, nie przyniosłeś pomysłnych dni – pomyślał. A może ty zwiastujesz nieszczęście i dlatego Lapończyk nie odpowiedział na pytanie, co oznacza spotkanie z tobą. Żałuję, że cię zobaczyłem.

Spis treści

Wstęp	7
Protokół.....	8
Barbara Rysz-Postawa	11
Bolesław Sawicki	15
Katarzyna Wierzbicka	19
Monika Szymczakowska	23
Krzysztof Domka	25
Kamil Jankowski	27
Małgorzata Luckner	29
Joanna Matlachowska-Pala	33
Agnieszka Kania	36
Zbigniew Kostrzewa	43
Andrzej Miś	45
Anna Pituch-Noworolska	49

ISBN 978-83-967601-0-4

Unia Polskich Pisarzy Lekarzy
Warszawa 2023

